



PIES
WOJNY



Jak **oficer SAS** stał się pionkiem
w afrykańskiej wojnie o ropę

S I M O N M A N N



Tytuł oryginału: Cry Havoc

Tłumaczenie: Arkadiusz Romanek

Projekt okładki: ULABUKA

ISBN: 978-83-246-5545-8

© Text copyright Simon Mann 2011

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in a retrieval system, or in any form or by any means, without the prior permission in writing of the publisher, nor be otherwise circulated in any form of binding or cover other than that in which it is published and without a similar condition including this condition being imposed on the subsequent publisher.

First published in hardback in 2011.

Polish edition copyright © 2013 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

SPIS TREŚCI

Podziękowania	7
Prolog	13

ROZDZIAŁ 1.

SOBOTA, 6 MARCA 2004. D-DAY – 2: TRANSFER Z WONDERBOOM DO PILANESBERGU W RPA	15
0400 ZULU, ETA LANSERIA, RPA	30
0600 ZULU, NIEDZIELA, 7 MARCA 2004. D-DAY – 1, PRZED ATAKIEM: CRESTA MOTEL, HARARE, ZIMBABWE	32

ROZDZIAŁ 2.

2002: POCZĄTKI	43
-----------------------------	-----------

ROZDZIAŁ 3.

MARZEC 2003: HISZPANIA	67
-------------------------------------	-----------

ROZDZIAŁ 4.

1993: ANGOLA	77
2333 ZULU, 14 MAJA 1993. ANGOLA, MV BANGALA: 5 MIL MORSKICH SSE OD CABO LEDO	83

ROZDZIAŁ 5.

KWIECIEŃ 2003: JOHANNESBURG, RPA	99
MAJ 2003: ZURYCH, SZWAJCARIA	102

ROZDZIAŁ 6.

MAJ 1993: SOYO, ANGOLA	109
-------------------------------------	------------

ROZDZIAŁ 7.

LIPIEC 2003: PRZEWRÓT W GWINEI RÓWNIKOWEJ	117
--	------------

ROZDZIAŁ 8.	
1993: WOJNA W ANGOLI	135
ROZDZIAŁ 9.	
STYCZEŃ 2004: PRZEWRÓT W GWINEI RÓWNIKOWEJ	165
ROZDZIAŁ 10.	
MARZEC 1995: FREETOWN, SIERRA LEONE	173
ROZDZIAŁ 11.	
2004: PRZEWRÓT W GWINEI RÓWNIKOWEJ	199
2000 ZULU, 25 LUTEGO 2004: HOTEL INTERCONTINENTAL, MIĘDZYNARODOWY PORT LOTNICZY W JOHANNESBURGU	207
ROZDZIAŁ 12.	
AFRYKA: 1997	211
WRZESIEŃ 1997	220
ROZDZIAŁ 13.	
MARZEC 2004: ZIMBABWE	223
ROZDZIAŁ 14.	
CHIK MAX 249	
NIEDZIELA, 26 WRZEŚNIA 2004	259
ROZDZIAŁ 15.	
BOŻE NARODZENIE 2005	273
LIPIEC. ŚRODEK ZIMY	277
STYCZEŃ 2008	306
ROZDZIAŁ 16.	
ŚRODA WIECZÓR, 30 STYCZNIA 2008	311
Postscriptum	365
Glosariusz	360
Dodatek nr 1	375
Dodatek nr 2	377
Dodatek nr 3	379

ROZDZIAŁ 2.

2002: POCZĄTKI

OK. Jak właściwie doszło do tego, że znalazłem się w tak cholernie nieprzyjemnej sytuacji? Mniej więcej pod koniec 2002 roku poznałem człowieka o nazwisku Wayne Adams — szemranego dandysa zajmującego się rzekomo handlem nieruchomościami-i-czymś-tam-jeszcze. Niespełnionego podróżnika. Niewysokiego, zwalistego, tęgiego faceta. Nosił buty od Toda Slippera. Miał wystające kostki. Czarne jak smoła, tłuste i za długie włosy. Przetłuszczoną skórę. Drogi samochód. Drogie ubrania. Gość w typie tych, którym wydaje się, że są centrum wszechświata.

Na początku 2003 roku Adams zaproponował (najemnikowi z Afryki, który widział już to i owo...) odwiedzenie Gabonu. Zaprzyjaźnił się z ówczesnym prezydentem tego kraju — nieżyjącym już i specjalnie nieopłakiwanym Bongo¹. Jak się później okazało, mężczyźni poznali się podczas wাকacji, a prezydent natychmiast polubił Adamsa.

Tak jak się obawiałem, siedmiodniowa wycieczka do Libreville okazała się totalną stratą czasu. Prawdziwą mordęgą. Pomimo trwającego od wielu lat ogromnego popytu na ropę naftową (na wydobyciu której Gabon zarabiał krocie), miasto — stolica kraju — wydawało się zapyziałą norą, jednym wielkim slumsem. Za to pałac *Monsieur Le President* Bongo okazał się prawdziwym dziełem sztuki.

Podczas spotkania z prezydentem ledwo powstrzymałem się od śmiechu. Bynajmniej nie z powodu nazwiska czy dlatego, że Bongo był niewiarygodnie niskim człowiekiem (nawet na wysokich kubańskich obcasach). Najzabawniejsze w tej postaci było to, że Bongo nie interesował się absolutnie niczym poza ceną baryłki ropy negocjowaną na podstawie umów z wielkimi graczami rynku wydobycia.

¹ Omar Bongo rządził Gabonem przez ponad cztery dekady, aż do śmierci w 2009 roku. Stał się symbolem *la Françafrique*, francuskiego systemu mającego na celu utrzymanie kontroli nad dawnymi koloniami poprzez sieć niejasnych powiązań, wzajemnych umów i mętnych porozumień pomiędzy grupami wpływu.

The Barrel Boyz. Chłopcy od baryłki.

W branży naftowej umowy na wyjątkowo atrakcyjnych warunkach, takie jak te z Gabonem, nazywa się *słodziutkami*. Ale tylko za zamkniętymi drzwiami gabinetów, bo dla zwykłych Gabończyków transakcje te wcale tak atrakcyjne nie są. „Słodkie umowy” podpisywane przez Omara Bongo, sprzedającego ropę za bezcen — po dolarze za sztukę — kosztowały Gabon co najmniej dziesięć dolarów za baryłkę. Głupi skurwiel Bongo mógł nawet tego nie wiedzieć. Ale nawet gdyby wiedział, pewnie wcale by się tym nie przejął.

Bongoekonomia.

Pod koniec tej rzekomo biznesowej podróży (choć bliżej jej było do farsy) utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że wyjazd był autentyczną stratą czasu, tak jak się od początku obawiałem.

Potem, gdy wróciłem do Londynu, wpadłem na swoją byłą dziewczynę (wtedy myślałem, że to absolutny przypadek), która zaproponowała spotkanie z inną, o wiele bardziej wpływową grubą rybą. Celem spotkania miała być wymiana opinii na temat podróży do Gabonu. Wówczas wydawało mi się, że oto wpadłem z deszczu pod rynnę. Jednak mimo wszystko zgodziłem się pójść na to spotkanie. Grube ryby mogą się okazać przydatne, a dyskusja na temat Bongoekonomii może być świetną zabawą.

I tak w lutym 2003 roku zapukałem do drzwi pewnego domu w Londynie. Wtedy zupełnie nie przeszło mi przez myśl, że podróż do Gabonu mogła być ustawką. Byłem zbyt zajęty przyjmowaniem pochlebstw od faceta, który wydawał się wiedzieć wszystko o mojej karierze — a zwłaszcza o moich wyczynach w Angoli i Sierra Leone. Z tej wiedzy wynikało jego pragnienie poznania mojej opinii na temat innych afrykańskich punktów zapalnych.

Gdy spotkałem Szefa, stało się dla mnie jasne, że ten człowiek doskonale wie, iż zaledwie kilka miesięcy wcześniej dwa razy odwiedzałem Sudan Południowy, goszcząc tam na zaproszenie rebeliantów z Ludowej Armii Wyzwolenia Sudanu (SPLA). Jakimś sposobem mój rozmówca dowiedział się też, że podczas pierwszej podróży trafiłem do Sudanu okrężną drogą — to znaczy przez granicę Demokratycznej Republiki Konga, przedostając się przez północno-wschodnią prowincję Kilo Moto. W czasie drugiej wizyty wybrałem się przy okazji w góry masywu Wyżyny Abisyńskiej.

Po zakończeniu omawiania moich podróży przypominających modelowy Grand Tour² (tyle że po najciemniejszych zaułkach Afryki) usłyszałem coś, co stało się dla mnie kluczem do zrozumienia intencji Szefa:

² Grand Tour (ang.) — zakorzeniony w tradycji anglosaskiej typ pożądaney przez młodych intelektualistów i arystokratów podróży, w jaką dawniej wyruszano w celu poszerzenia horyzontów, zdobycia wiedzy o świecie i kulturze europejskiej, wyrobienia gustu artystycznego, nabrania dobrych manier itd. — *przyp. tłum.*

— Jest jedno takie miejsce, gdzie chciałbym być królem choćby tylko przez jeden dzień. Gwinea Równikowa. Widziałeś dane dotyczące wydobycia ropy? Wiesz, ile produkują? Znasz wartość udokumentowanych zasobów? To są miliardy baryłek!

Po nawiązaniu do kilku innych tematów nasze spotkanie dobiegło końca. Coś da się zrobić w Sudanie (tu zgoda). Czy chciałbym przemyśleć to i przedstawić swoje uwagi w formie pisemnej? Jakie podejście mogłoby się sprawdzić?

Po powrocie do domu zacząłem się zastanawiać nad tym, co mnie spotkało. Polubiłem Szefa. Jest dowcipny i inteligentny. Bardzo dobrze się ubiera, ale wybiera raczej ubrania mniej formalne. Nie znosi głupców, czego nie ukrywa. Dobrze zna się na tym, co robi.

Siadam przy komputerze i staram się (nie po raz pierwszy), jak najlepiej potrafię, odnieść do sytuacji w Sudanie (biedne dranie). Chytrze oznaczam ten raport nazwą kodową „GORDON DWA”, mimo że w rzeczywistości powinien on nosić nazwę „GORDON CZTERY” lub „GORDON PIĘĆ”. Tak się składa, że miałem już wcześniej okazję tworzyć ogólny plan operacji w Sudanie na zlecenie innych „filantropów”.

Cały pomysł sprowadza się do znalezienia jakiegoś ważnego — ale zamrożonego — zasobu, takiego jak ropa naftowa lub złoto, który w Sudanie występuje w znacznych ilościach. Po dokonaniu wyboru i w przypadku osiągnięcia zgody w tej kwestii rozpoczynana jest faza „wydobycia” i produkcji — pod osłoną prywatnych oddziałów paramilitarnych, ale przy jednoczesnym uzyskaniu akceptacji i oficjalnej licencji na wydobycie w ramach spółki partnerskiej z rządem.

Tylko którym rządem? Satrapów z Chartumu? A może mających swoje bazy w Kenii rebeliantów SPLA? Wybór zależy od tego, kto będzie miał pod swoją kontrolą obszar, na którym znajdują się wspomniane zasoby. Na północy: Chartum. Na południu: Nairobi. A może jednocześnie na północy i na południu? Wtedy wszystko sprowadzi się do zebrania najgorszych lokalnych *banditti*. Krótkiego ich przeszkolenia. Lepszego uzbrojenia.

Tak się złożyło, że analizowałem kiedyś szanse takiej operacji w ramach planu zakładającego opanowanie kopalni złota w górach Ingessana, na północny zachód od miejsca zwanego Bau, w pobliżu granicy z Etiopią. Kopalnia została rozbudowana przez Chińczyków, a następnie opuszczona. Wydobycie przynosiło wprawdzie znaczne zyski, ale inwestycja okazała się nietrafiona z powodu kłopotliwego sąsiedztwa lokalnych watażków określanych mianem Shifta.

Moja analiza zmieściła się na ledwo dwóch stronach formatu A4. Tymczasem jakoś wcale nie czułem się zaskoczony, kiedy na następnym spotkaniu, które miało w zasadzie dotyczyć rozmowy na temat planu „GORDON DWA”, ujrzałem, jak Szef pokiwał tylko (bez przekonania i krótko) głową nad moim dokumentem, by zaraz odłożyć go na kanapę. Tak naprawdę

celem naszego spotkania była rozmowa o Teodoro Obiang Nguemie Mbasogo, prezydencie Gwinei Równikowej. Tyranie. A może byśmy pomyśleli o jego obaleniu? Wspomagany zbrojny przewrót w roku inwazji na Irak (2003). Może przeprowadzić zamach i zabić prezydenta Obianga? Czy pokierowałbym taką operacją? Dokonywałem cudów podczas wojen w Angoli i Sierra Leone. I to bez rozgłosu lub oficjalnych zaszczytów. Zaimponowałem mu. Czy jestem zainteresowany?

Jeśli to prawda, co mówią, a Obiang naprawdę jest strasznym despotą, to czy jest coś lepszego niż przygotowanie i wykonanie zamachu? Byłaby to „dobra” operacja, nawet jeśli nie dałoby się na niej zarobić ani centa. Dlaczego mieszkańcy Gwinei Równikowej mieliby dalej żyć w cieniu policyjnych pałek? Dlaczego ktokolwiek miałby cierpieć przez Obianga?

A przecież w grę wchodzi ogromne kwoty petrodolarów, które można przytulić... Dlaczego miałbym na tym nie skorzystać, nawet jeśli jasne jest, że nie miałbym wielkiego wyboru w kwestii konkretnych instalacji wydobywczych. Istnieją także inne przyczyny przemawiające za doprowadzeniem do przewrotu. To okazja dużego formatu. W Angoli i Sierra Leone udało nam się dokonać wielkich czynów, ale zarówno ja, jak i inni uczestnicy tych operacji czuliśmy, że można było pójść dalej. Na każdym kroku widzieliśmy, jak wielką pomoc niesiemy biednym i cierpiącym Afrykanom. Zresztą oni nie kryli, że dają nam swoje przyzwolenie. Istniały jednak potężne organizacje, którym nie podobało się to, co robiliśmy.

Organizacje te koncentrują się głównie na kwestii wydobycia ropy naftowej. Chcą, aby Afryka Zachodnia była podzielona. Pragną chaosu. Wojen. Nie chcą powstania zachodnioafrykańskiego odpowiednika OPEC. Chłopcom od baryłki zależy na budzeniu strachu i wywoływaniu grozy... bałkanizacji Afryki Zachodniej (jak wyczytałem w pewnym dokumencie CIA, w którym autor po kolei wyłuszczał korzyści takiego stanu rzeczy).

Pomyślałem sobie, że gdybym wspomagał demokratycznie wybranego prezydenta, rządzącego wyjątkowo bogatą w surowce naturalne Gwineę Równikową, i stał ze swoimi ludźmi po jego stronie, zyskalibyśmy prawdziwą moc czynienia dobra w jednej z najgorszych części Afryki.

Istnieją oczywiście inne powody. Cieszę się, że pytasz. Chciałbym zarobić. Chcę coś zmienić. Sprawić, żeby kilku ludziom żyło się lepiej. Czuję wyzwanie związane z podjęciem się tak trudnego zadania. Pragnę niebezpieczeństwa i niewygód. Uwielbiam wypełniającą żyły adrenalinę.

Bo widzisz, udało mi się wyciągnąć dwa zwycięskie losy na loterii Fortuny — najpierw wygrywając wojnę domową w Angoli, a następnie, po wydaniu gigantycznych pieniędzy, kończąc drugą wiktoria, w Sierra Leone. Jednak operacja w Gwinei Równikowej byłaby czymś zupełnie innym. Zaangażowałbym się dlatego, że chcę, a nie dlatego, że płynę z prądem, gnany wiatrami interesów.

Tak czy owak (jak już mówiłem), mieliśmy rok 2003, a kontrolowane przewroty były w modzie. Odegrałem swoją rolę w „grze wstępnej” w ramach planowania i realizacji operacji, która ostatecznie doprowadziła do inwazji na Irak i upadku arcytyrana, Saddama Husajna. Przysłużyłem się i włożyłem w to przedsięwzięcie całe serce. A może by tak zaplanować teraz prywatny przewrót?

Zastanawiam się, ilu ludzi musi zginąć z rąk tyrana lub cierpieć tortury, zanim ktoś ruszy palcem i zrobi coś z tym draniem? Niewłaściwe jest ignorowanie sytuacji, gdy ktoś zostaje pobity na śmierć na ulicy lub okradziony w centrum handlowym. Co do tego zgadzamy się wszyscy, nawet redaktorzy „Guardiana”. Nikt z nas nie wyobrażałby sobie po prostu przejścia obojętnie obok takiego zdarzenia. Nie chodzi tylko o to, że nie pozwala nam na to nasze wychowanie. Jaka jest bowiem różnica — abstrahując od kwestii skali — pomiędzy grupą wyrostków napadających na jakąś starszą osobę a tyranem, który obrabia mieszkańców swojego kraju? W obu przypadkach złoczyńcom na pewno podoba się słabość ofiar.

Gwinea Równikowa będzie sporym wyzwaniem. Góra sięga chmur, ale trzeba się na nią wspiąć. Zadanie będzie trudne. Niebezpieczne. A ja pragnę wysokogórskiej wspinaczki równie mocno, jak alkoholik łaknie drinka. Chcę się zmierzyć z tym zadaniem. Marzę o tym, aby się nim zająć.

— Jestem za. Jednak nie mogę się zgodzić na zabójstwo.

— Dlaczego nie?

— Bo to nic nie da. Uśmiercimy Obianga. I co dalej? Możesz dostać też jego syna — Teodorino — i nie zrobisz ani kroku we właściwym kierunku. Można wykorzystać armię, jeśli Bóg nam pomoże... doprowadzając do wewnętrznego przewrotu. I gdzie wtedy będziesz?

Takie było moje zdanie i nie zamierzałem tego ukrywać. Nie powiedziałem natomiast głośno tego, że według mnie zabójstwo byłoby po prostu złe. Tak myślę. Ale wiedziałem też, że Szeff nie będzie skłonny do zaakceptowania tego rodzaju argumentów.

Moim zdaniem słuszność koncepcji zaangażowania się w planowanie przewrotu w Gwinei Równikowej była wystarczająco jasna. Gdyby Obiang był niegroźnym dyktatorem, nie myślałbym o wzięciu udziału w spisku, którego celem byłoby jego obalenie. Za żadne pieniądze. Jednocześnie, pomimo że Obiang bez wątpienia był prawdziwym tyranem, jego zamordowanie po prostu nie byłoby dobrym początkiem nowej, wolnej Gwinei.

A zatem jestem „za”.

Zabraliśmy się do pracy, a to oznaczało burzę mózgow. Zaczęliśmy analizować wszystkie możliwe opcje.

Szeff chce wiedzieć, jak wyglądały szczegóły operacji w Angoli i Sierra Leone. Wiele razy podkreślałem kluczowe znaczenie szybkości działań.

— Jeśli atak ma się powieść, szybkość i osiągnięcie przewagi zaskoczenia są niezbędne. Tylko że ja mówię o czymś innym... Chodzi o to, że musimy

działać błyskawicznie: od chwili, gdy dowiem się, że mamy zielone światło, do chwili, gdy dostanę zgodę na rozpoczęcie kluczowej części operacji, a potem między tą chwilą i dniem rozpoczęcia działań. To właśnie dzięki naszemu natychmiastowemu wdrożeniu planów wszystko powiodło się w Angoli... a potem udało się jeszcze raz, w Sierra Leone. Działaliśmy błyskawicznie. Byliśmy szybsi niż przecieki. Szybsi niż wszystkie te dupki z rządu. Bo widzisz: będziemy mieli przecieki. Nie da się ich uniknąć... Jedynym skutecznym sposobem poradzenia sobie z nimi jest podkręcenie tempa. Nie możesz działać w porywach, raz dając mi zgodę na działania, żeby po chwili ją wycofać. GO... STOP... GO... STOP... To najlepszy sposób, żeby wszystko spieszyć.

Powiedziałem to raz. Potem powtórzyłem. Myślę, że rozumie. Naprawdę mam nadzieję, że zrozumiał, co chciałem powiedzieć. Jeśli ta operacja ma się powieść, to szybkość działania i przewaga zaskoczenia będą najistotniejszymi czynnikami sukcesu.

Stałem się kimś, o kim mówiono: „Ten facet ci to załatwi”. Najsłynniejszym i najlepiej opłacanym najemnikiem mojego pokolenia. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że ten mroczny świat wykreował mnie na swoją jasną gwiazdę?

Dom w Chelsea na Chester Square z tabliczką z numerem dwa. Tam się urodziłem. Tam przez sześć lat po moim urodzeniu mieszkała cała rodzina. Na ścianie domu wisi niebieska tablica pamiątkowa: „Tu mieszkał Matthew Arnold (1822 – 1888); poeta i krytyk literacki”. Pamiętam niebieski dysk London County Council. Mój dom.

Moi rodzice zatrudniali nianię, która zabierała mnie i mojego młodszego brata, Richarda, na spacer po Ebury Street. Maszerowaliśmy razem z żołnierzami Nowej Gwardii od koszar w dzielnicy Chelsea aż do Pałacu Buckingham. Oglądaliśmy zmianę warty.

Niania pokazywała nam wyrwy w miejscu co piątego lub co szóstego domu na niektórych ulicach. Dziury w równym szpalerze domów wprawiały mnie w ponure zdumienie. Niania mówiła nam również o tym, czym był Blitz: o bombardowaniach bombami latającymi V-1 (głuchy odgłos pracującego silnika, potem cisza pełna napięcia i wielki huk eksplozji) oraz raketami typu V-2 (nie było żadnego ostrzeżenia, po prostu na ziemi nagle dochodziło do ogromnej eksplozji).

Wychowaliśmy się w cieniu wojny. Zarówno mój dziadek Frank, jak i ojciec George — F.T. i F.G. — byli bohaterami wojennymi. Dziadek brał udział w I wojnie światowej, a ojciec w II wojnie światowej. Żaden z nich nie mówił za wiele o swojej służbie, ale kiedy już któryś z nich dzielił się swoimi historiami, te opowieści były przerażające. O wojennych losach mówiło się — przynajmniej w przypadku taty — nawet wtedy, gdy wstąpiłem do Gwardii Szkockiej.

Nie wiem, jak udało się Frankowi przetrwać tę straszną wojnę. Większość młodszych oficerów piechoty, którzy znaleźli się w szeregach armii na początku Wielkiej Wojny, zginęło na długo przed jej zakończeniem. Mój dziadek był trzy lub cztery razy ranny. Za każdym razem wracał ze szpitala na pierwszą linię i walczył dalej. Lekarze powiedzieli mu, że już nigdy nie będzie mógł grać w krykieta. Udowodnił im, że się mylą. Został kapitanem reprezentacji Anglii.

Wstąpiwszy do Gwardii Szkockiej w chwili wybuchu II wojny światowej, ojciec brał udział w operacji „Torch”, czyli lądowaniu aliantów w Libii. W tym czasie Rommel i jego Afrika Korps, po bitwie pod El Alamein, cofały się na zachód pod naporem VIII Armii Montgomery’ego. Operacja Torch miała zamknąć siły Rommela w kleszczach w Tunisie. I to się udało.

George uczestniczył potem w całej długiej i krwawej kampanii we Włoszech, a koniec wojny przywitał w Trieście, na granicy włosko-jugosłowiańskiej. Był już wtedy majorem odznaczonym dwoma Krzyżami Wojskowymi (MC) i Orderem za Wybitną Służbę (DSO). Przez żołnierzy Gwardii Szkockiej i wielu innych w czasie wojny i wiele lat po niej uważany był za najlepszego dowódcę kompanii na polu walki.

W konsekwencji interakcji z prawdziwymi bohaterami pól bitew oraz świadomości bliskości miejsc, w których wybuchały bomby, zacząłem interesować się wszystkim, co było związane z wojną. Wojenne komiksy (nazywaliśmy je *trash mags*) były wtedy dla chłopców w wieku szkolnym ważnym artykułem handlowym. Nawet niania dzieliła się z nami niesamowitymi historiami, opowiadając o tym, jak uciekała z okupowanej Belgii przed gestapo i pewną śmiercią w obozie koncentracyjnym. Była Żydówką.

Pozostało dla mnie tajemnicą, dlaczego nasz krótkowłosy miniaturowy jamnik, Sammy, nie miał nam do opowiedzenia żadnych wojennych historii.

Później niania przyczyniła się do zaostrenia mojego apetytu na przygody i opowieści wojenne. Wprowadziła mnie w świat książek przygodowych Johna Buchana, opisujących afrykańskie peregrynacje Richarda Hannaya, a potem podsunęła powieści C.S. Forrestera z przygodami Hornblowera. Tyle że niania zapomniała jakoś wspomnieć, że tego rodzaju książki czyta się dla rozrywki. Dała mi je po to, aby wciągnąć mnie w świat literatury. Nie mówiła, że nie były to podręczniki życia.

Książki nie miały znaku ostrzegawczego. Nie było na nich ostrzeżenia: „Nie próbuj tego w domu”.

Pamiętam, że jedna z nich, zatytułowana *The Jungle is Neutral*, autorstwa Fredericka Spencera Chapmana, zawierała przedmowę feldmarszałka Earla Wavella: „Jakież angielski chłopiec nie marzy o wysadzeniu mostu, przez który przejeżdża transport wojskowy Japończyków?”. Tak właśnie wyglądały moje codzienne marzenia.

Niedzielne popołudnia spędzaliśmy z dziadkiem. W domu zbierał się zwykle tłum jego przyjaciół oraz znajomi mojego ojca. Każdy z nich kiedyś walczył z Niemcami w jednej lub w drugiej wojnie światowej.

Niania czasami zmieniała trasy naszych spacerów. Uwielbiał się spędzać czas na dworcu kolejowym Victoria, wypełnionym parą, pękającym od hałasu i kipiącym energią. Gapiliśmy się na gigantyczne, syczące lokomotywy. Niektórzy maszyniści zaczęli nas rozpoznawać i czasami mogłem posiedzieć w kabinie lokomotywy. Jednak gdy skończyłem osiem lat, dworzec Victoria schował się za inną maską. Stał się terminalem, miejscem, gdzie wsiadałem do pociągu, którym jeździłem do szkoły North Foreland Court w Broadstairs, leżącym w hrabstwie Kent (i na szczycie 39 stopni wykutyh w kłifie, o których wspominał Buchan).

Szkoła North Foreland była instytucją edukacyjną, w której brano sobie do serca obowiązek przygotowania małych chłopców na wszystkie przykrości życia. Jestem pewien, że tę samą szkołę opisywał Evelyn Waugh w swojej trylogii *Sword of Honour*. Miejsce, w którym tylko prefekci i pupile nauczycieli mogli siadywać na kaloryferach, żeby trochę rozgrzać zmarznięte na kość członki.

W tym właśnie miejscu „maszyna ciśnieniowa Manna” zaczęła pracować pełną parą.

Pierwszego dnia dowiedziałem się od dyrektora szkoły, że uczył mojego ojca, a także wujka Johna. Dyrektor zabrał mnie na przechadzkę. Mróz szczypał w policzki, a on wskazał dach sali gimnastycznej. Wszystkie dachówki miały ciemnoczerwony kolor, tylko jedna — gdzieś w środku — wyróżniała się różową barwą.

— Czy widzisz tę różową dachówkę?

— Tak, proszę pana.

— A teraz spójrz tam — dyrektor wskazał dłonią oddalone boisko do krykieta i pobliski pawilon. Plac został ogrodzony na zimę. — Podczas Fathers's Match w 1929 roku twój dziadek Frank uderzył piłkę do krykieta tak mocno, że doleciała do dachu i zniszczyła starą dachówkę.

Próbowałem przybrać przerażony wyraz twarzy.

Zarówno mój dziadek, jak i ojciec byli kapitanami reprezentacji Anglii w krykieta; Frank podczas zwycięskiego tournée po Afryce Południowej w latach 1922 – 1923; ojciec — w czasie podobnego tournée w latach 1948 – 1949. W trakcie morskiej podróży powrotnej spotkał moją matkę.

Bardzo starałem się zostać dobrym graczem, ale moje wysiłki spełzyły na niczym. Po prostu nie miałem do tego drygu. Miałem za to nadzieję, że zostanę niezłym żołnierzem. Wojna, jaką znaleźmy, była tuż za rogiem. Dzięki niej mogłem przynajmniej w jakiś sposób udowodnić, że jestem Mannem — nieodrodnym synem, który idzie w ślady ojca i dziadka.

Pięć lat nauki w North Foreland ciągnęło się niemiłosiernie. To był okropny czas. Paskudne jedzenie! Nienawidziłem tego miejsca i nie mogłem wybaczyć rodzicom, że wysłali tam ośmioletnie dziecko (a potem także Richarda, który miał wówczas siedem lat). Mieliśmy taki piękny dom. Jaki był tego sens? Wkrótce nadszedł jednak czas egzaminów wstępnych do Eton.

Trzy dni przed ogłoszeniem wyników egzaminów wstępnych wybrałem się z rodzicami do naszego domu na wsi. Tata grał w krykieta. Oczywiście, jak zwykle, był kapitanem zespołu. Do szkoły miałem wrócić sam w niedzielę wieczorem. Pociągiem. Tata zabrał mnie na stację kolejową. Wysiliśmy na senny peron dwutorowego przystanku. Stacja wyglądała jak z widokówki — otaczały ją zielone drzewa liściaste i łąki. Nie potrafiłem jednak cieszyć się z tego piękna, jakie miałem przed oczyma.

Byłem pewien, że nie zdając egzaminów, rozczarowałbym moich rodziców. Co mogłoby się stać? Chłosta? W North Foreland sięgano po nią bez wahania. Deportacja do kolonii? Śmierć? Konsekwencje takiej porażki trudno było mi sobie wyobrazić.

Wziąwszy głęboki wdech, spytałem:

— Co się stanie, jeśli nie zdam?

Ojciec spojrział na mnie zdziwiony. Przecież nie mógł zapomnieć o ogłoszeniu wyników?

— Egzaminów wstępnych, tato. Co się stanie, jeśli nie zdam?

Zapadła cisza.

— Dobry Boże! Cóż... gdybyś nie zdał... No, nie wiem. Nie wiem. Cóż... wtedy będziemy musieli coś wymyślić, prawda?

Laskawym zrządzeniem losu do stacji zaczęła się zbliżać sapiąca lokomotywa. Ciągnęła za sobą stare wagony, w których każdy przedział miał własne drzwi i nie było łączącego je przejścia. Chwyciłem za klamkę, zanurkowałem do środka i zatrzasnąłem drzwi za sobą. Trzask zamka był uspokajającym dźwiękiem. Usiadłem na ławeczce, bezpiecznie skryty przed zewnętrznym światem. Wdzięczny, że udało mi się od niego uciec.

Wydawało się, że w całym pociągu poza mną nie ma ani jednego pasażera. Znalazłem uchwyt otwierania okna. Kiedy wychyliłem się na zewnątrz, mój ojciec, stojąc na peronie, uśmiechnął się i powiedział:

— Nie martw się, stary. Coś wymyślimy.

Rozległ się głośny gwizd, a po chwili silnik parowej lokomotywy pobudził pociąg do życia. Spomiędzy platform, nad którymi wisiały kosze zaskakująco kolorowych kwiatów, rozległy się szczęknięcia zamków łączących wagony. Zaczęliśmy się oddalać od peronu.

England, Their England — czytaliśmy tę książkę w szkole i śmiało się z zabawnego i jednocześnie przerażającego opisu meczu krykieta A.G. Macdonella. Kiedy usiadłem z powrotem na ławce, do mojej świadomości dotarło jasne przesłanie: „Będę musiał sam o siebie zadbać”. To może być zabawne. Taki właśnie sygnał odebrałem. Widziałem to. Wiedziałem.

Później, już w trakcie nauki w Eton, Victoria stała się dla mnie innym charakterystycznym punktem — bazą wypadową do londyńskich eskapad po zakazane przyjemności. Tak samo było później, w czasach, gdy dojeżdżałem z Sandhurst i Royal Military Academy. Jeszcze więcej wycieczek do Londynu. Obrzędy przejścia.

O dziwo, okazało się, że to dzięki marynarce nabyłem ważnej umiejętności: nauczyłem się celnie strzelać. W North Foreland mieszkał pewien stary bosman prowadzący świetną strzelnicę, gdzie można było poćwiczyć strzelanie przy użyciu karabinów o kalibrze 0,22 cala (prawdziwej broni, nie wiatrówki). Bosman i jego broda pamiętali jeszcze rok 1916 i Jutlandię, największą bitwę morską wszech czasów, zwycięską dla aliantów dzięki doskonałemu dowodzeniu okrętami Grand Fleet przez admirała Jellicoe.

— Mann! — krzyczał bosman, siedząc na swoim malutkim krzeselku za pokrytym perskimi chustami stołem i spoglądając w kierunku mojej tarczy. Oceniał wyniki, patrząc przez swoją wypolerowaną na błysk mosiężną lunetę. — Do diaska! Cuda się skończyły... Chłopcze, machasz tym cholernym karabinem na wszystkie strony i trafiasz jak kulą w płot!

Miałem dziewięć lat. W domu też używałem karabinu i strzelby.

W Eton zajęcia ze strzelania prowadził bosman w stanie spoczynku, Barnes. Gdy wymawiał swoje nazwisko, przeciągał „r” i wychodziło mu coś w rodzaju: „Ba-r-r-r-nes”. Pewnego dnia, gdy ćwiczyliśmy strzelanie z 7,62 mm SLR i GPMG, wyjaśnił mi swój stosunek do ćwiczeń strzeleckich na swoim okręcie (przy czym jego nastawienie nie ograniczało się wyłącznie do strzelania).

— Niewygodny okręt to szczęśliwy okręt... i to wszystko na ten temat. Racja.

Miałem 15 lat i według wszelkich standardów byłem już wyszkolonym żołnierzem.

Nawet testy, które pisałem, wybierałem z myślą o armii. Zdawałem egzamin poziomu A z trzech przedmiotów (historii, geografii i angielskiej literatury) tylko dlatego, że w tamtych czasach, jeśli nie miałeś świadectwa zdania testów na poziomie podstawowym i co najmniej dwóch testów poziomu A, nie mogłeś liczyć na przyjęcie do Sandhurst. Nie mogłeś także liczyć na stopień oficerski. Musiałem je zdać.

Byłem jednym z ostatnich kandydatów przyjętych do Sandhurst na starych zasadach dwuletnich studiów Intake 50 (przy czym jeden rok nazywano „akademickim”). Bawiłem się podczas gonitw za lisem w Leicestershire oraz na tańcach w Annabel’s — ilekroć tylko udało mi się dostać przepustkę i zebrać trochę pieniędzy.

Ku powszechnemu zaskoczeniu, w trakcie roku akademickiego zdobyłem Soviet Studies Prize. Miałem do tego smykałkę — musiałem mieć, jeśli weźmie się pod uwagę to, jak mało się uczyłem — dzięki czemu mogłem

zaprzyjaźnić się z dwoma spośród naszych „pięciogwiazdkowych”, elitarnych wykładowców: Peterem Vigorem i Christopherem Donnellym.

Gdy funkcję sekretarza generalnego pełnił lord Robertson, Chris został starszym oficerem wywiadu w strukturach NATO. Miałem się z nim ponownie spotkać w mrocznych korytarzach kwatery NATO, gdzie układano plany inwazji na Irak, do której ostatecznie doszło w 2003 roku.

Peter Vigor był sowietologiem o ogromnej wiedzy, autorem wielu opracowań naukowych oraz kilku książek. Jego rodzina handlowała z Rosjanami już w czasach Tudorów. Peter znalazł się w grupie specjalistów towarzyszących prezydentowi Nixonowi podczas jego ważkiej dla losów świata wizyty w Moskwie w 1972 roku. Dobrze znał wielu starszych generałów Armii Czerwonej i KGB, pełniących służbę w najgorętszym okresie zimnej wojny. Co dziwne, Peter mógłby być aktorem — idealnie pasował do roli George’a Smileya w jakimś filmie szpiegowskim będącym ekranizacją powieści Le Carré’a. Zaprzyjaźniliśmy się. Jakiś czas później Peter gościł u mnie w Münsterze (w Niemczech), prowadząc zajęcia dla grupy bojowej Gwardii Szkockiej.

Wkrótce (wreszcie!) zostałem oficerem Gwardii Szkockiej — tak jak mój ojciec i dziadek przede mną. Doradzono mi, abym w Münsterze pojawił się z nartami na dachu samochodu. Zaparkowałem pod biurem dowódcy bazy, zgodnie z zaleceniami. Udałem się wprost do komendanta, zgodnie z wymogami wojskowego drylu. To przyniosło oczekiwany efekt. W gwardii brakowało instruktorów jazdy na nartach, dlatego pomimo zawołania i przekleństw adiutanta, Roddy’ego Gowa, zostałem nauczycielem. Od razu. Tak jest, sir!

A zatem i ja już niedługo miałem maszerować po Ebury Street od koszar w Chelsea, biorąc (teraz aktywny) udział w zmianie warty przed Pałacem Buckingham i Pałacem św. Jakuba. W takich chwilach myślałem zawsze o miejscach, w których walczyli członkowie mojej rodziny: dziadek — w kleszczach pod Ypres, Passchendaele, a potem ojciec — podczas przełamania umocnień linii Zygryda, w bitwie pod Sidi Bu Zajd, bitwie o Anzio, pod Monte Cassino, w Arno i we Florencji, a także podczas przełamania linii Gotów.

Być może dlatego czułem niespełnienie i znudzenie. Mojego samopoczucia nie poprawiały misje operacyjne w Irlandii Północnej, gdzie sytuacja w tym czasie wymykała się spod kontroli. Nic się nie zmieniało, pomimo że 4 Brygada Pancerna Gwardii, stacjonująca w Münsterze, na Nizinie Północnoniemieckiej (na obszarze charakteryzującym się świetnymi warunkami do przeprowadzania szybkich operacji z użyciem sił pancernych) musiała stale pozostawać w gotowości operacyjnej. Naszym potencjalnym przeciwnikiem była radziecka 2 Armia Pancerna Gwardii. Dzięki wnikliwej analizie Petera Vigora (uzupełnionej o pełną humoru ocenę prawdopodobnych

poglądów oficerów i żołnierzy radzieckich) dysponowaliśmy dokładnym rozpoznaniem sił i środków tej jednostki.

Niczego nikomu nie udowadniałem. Na pewno nie sobie. Byłem żołnierzem, ale chciałem czegoś więcej. Chciałem walczyć za jakąś sprawę. Chciałem zgładzić godnego śmierci smoka.

Wówczas przyjaciel zasugerował mi spotkanie z Davidem Stirlingiem, niegdyś młodym oficerem, porucznikiem Gwardii Szkockiej (oczywiście), w czasie kampanii Rommla w Afryce Północnej służącym w Kairze. Twórcą brytyjskich elitarnych oddziałów specjalnego przeznaczenia — SAS.

Stirling był bohaterem najlepszej książki, jaką niania kiedykolwiek wysłała mi do Eton — *The Phantom Major* Virginii Knowles. Nie mogłem uwierzyć, że postać z książki naprawdę jest człowiekiem z krwi i kości. Żyjącym i oddychającym. Stirling cieszył się mianem żywej legendy. Założyciel SAS. Dziki człowiek. Poszukiwacz przygód. Bojownik o wolność. Hitler, mówiąc o Stirlingu i SAS, przyznał: „Ci ludzie są niebezpieczni”. Co powiesz na taką ocenę?

Gdy przyjaciel zasugerował: „Dlaczego nie porozmawiasz z Davidem Stirlingiem?”, pomyślałem, że jest szalony. To było tak, jakby powiedzieć nastolatce marzącej o zostaniu gwiazdą: „Dobrze. A dlaczego nie pójdziesz i nie pogadasz z Madonną?”.

A ja naprawdę namierzyłem numer telefonu Davida. Potem, uzbrojony w głupią odwagę, jaka może być tylko udziałem młodości, po prostu do niego zadzwoniłem. Ku mojemu przerażeniu David zaproponował spotkanie. Miało do niego dojść w jego londyńskim klubie. Wstępując w progi White's Club, czułem się tak, jakbym naprawdę potrzebował jakiegoś wzmacniającego koktajlu. Moje obawy okazały się jednak zupełnie bezpodstawne. Stirling rzeczywiście był człowiekiem niesamowitym: niesamowicie uroczym, niesamowicie przyjaznym i niesamowicie niebezpiecznym.

W tym czasie wchodził już w jesień swojego awanturczego życia, które nie znało ograniczeń, ale nie zamierzał odejść na spokojną emeryturę. Był pionierem i jednocześnie mistrzem ceremonii cyrku — organizacji, które obecnie nazywa się prywatnymi firmami wojskowymi. Śmiertelnie niebezpiecznego cyrku.

To właśnie wtedy, w trakcie tego pierwszego spotkania w White's Club — *sanctum sanctorum* klubowego świata imperium — pojawiło się pytanie: „Czy chciałbyś pomóc w przeprowadzeniu zamachu stanu planowanego przez Stirlinga?”. Chodziło o obalenie komunistycznych rządów na Seszelach i odsunięcie od władzy quasi-marksistowsko-leninowskiego tyrana France'a-Alberta René. Jeśli tego „złego” człowieka można w ogóle było tak nazwać.

Miałem 21 lat. Spodobało mi się, że w takim miejscu jak White's Club powstawały tego rodzaju ambitne plany, choć zbytnio mnie to nie zdziwiło. Znajomość historii spisanych piórem Johna Buchana pomogła mi uwierzyć,

że to normalne. Plany przewrotu wywoływały dokładnie taki rodzaj dreszczu, jakiego pragnąłem. I nie chodziło tylko o to, że na potrzeby operacji „Rupert” miałem pozować na playboya z milionami na koncie. Odtwórcę romantycznych ról. Z jachtem.

Możecie na mnie liczyć.

Opuściłem klub po złożeniu podpisu pod dokumentem będącym formalnym dowodem przystąpienia do spisku. Wychodziłem trochę... podpalony. Miałem wrażenie, że sam wypaliłem jedno z tych świetnych cygar Stirlinga. Cohiba Esplendido. Podczas całej naszej rozmowy David cnił jedno po drugim. Ciężki i szybki oddech sprawił, że i moje płuca wypełniły się dymem ulubionych cygar Che Guevary.

Ten niesamowity człowiek zadbał także o to, abym został członkiem elitarnego White's Club.

— Lepiej, żebyś był członkiem, bo wiesz... musisz chodzić do jednego z takich cholernych miejsc... — David widział, że się waham, i zrozumiał to opacznie. (Tak naprawdę zastanawiałem się, co powie na to mój ojciec, który wprost nienawidził wszystkich londyńskich klubów). — No tak... wiem, że White's to gówniany klub. Oczywiście, że tak... ale przynajmniej jesteśmy najlepszym, prawdziwie elitarnym gównem...

Mój jedyny akt odwagi związany z operacją na Seszelach dotyczył złożenia wniosku o wystąpienie z Gwardii Szkockiej. Cóż, przynajmniej próbowałem to uczynić. Napisałem list z rezygnacją, adresując go do kwatery głównej. Nie mogłem ujawniać prawdziwych przyczyn mojej rezygnacji.

Podpułkownik dowodzący w tamtym czasie Gwardią Szkocką był prawdziwym smokiem: sir Gregor MacGregor z MacGregorów, szósty baronet MacGregor z Lanrick w hrabstwie Perth. Mały, toksyczny, rudowłosy, pierdzący, wulgarny, nieprzebiegający w słowach, głośny smok. Jeden z jego mało poważnych przydomków brzmiał „Król”. To dlatego, że — przynajmniej zgodnie z jego wyobrażeniami — jeśli Szkocja kiedykolwiek miałaby ponownie stać się monarchią, wówczas to właśnie on założyłby koronę. Znam innych Szkotów, którzy roszczą sobie dokładnie takie same prawa, ale szyderczy pseudonim doskonale pasował do Gregora, jego fajerwerków i karykatury podpułkownika przy tuszy.

Kiedy poszedłem zobaczyć się z tym królem smoków, ubrałem anachroniczny mundur, zgodny z ówczesnymi wytycznymi regulaminowymi obowiązującymi w brygadzie gwardii: czarne sznurowane, wyczyszczone na wysoki połysk buty, trzyczęściowy garnitur, sztywny zdejmowany biały kołnierz i krawat, NIEZGODNY z oficjalnie zalecanym krawatem gwardii, plus melonik oraz przepisowo zwinięty parasol.

Już wtedy słyszałem w uszach dzwonienie ostrych słów mojego ojca i wymówek trzech wujów. Jednym z nich był John Mann, odznaczony MC i DSO, tak jak ojciec. Pozostali — parowie królestwa: lord MacLean (wśród bliskich

znany jako „Chips”, lord szambelan) i lord Vernon (potomek admirała Vernona i pierwszy samozwańczy par zajmujący miejsce w Izbie Lordów z ramienia laburzystów). Wszyscy czterej służyli w czasie wojen w jednostkach Gwardii Szkockiej.

Szczurzy smok, Gregor, powiadomił członków mojej rodziny. Powiedział im, że staram się o wystąpienie ze służby, i poprosił, aby moi krewni przemówili do słuchu szalonemu dzieciakowi, za jakiego mnie uważał. Sieć opresyjna zaczęła zaciskać się na moim gardle. Maszyna ciśnieniowa rodziny Mannów pracowała pełną parą. Dzwoni telefon. Byłem zaskoczony, że mój wspaniały ojciec chrzestny, lord Inchcape, nie dołączył do chóru oprawców.

— To są, kurwa, jakieś bzdury, Mann! Co, do ciężkiej cholery, zamierzasz uczynić? Hm... chłopcze? Co? Zrezygnować? Co? Jasna cholera!

— Sir, napisałem o tym w rezygnacji. Tak, zamierzam wystąpić ze służby.

— Cholernie dobrze wiesz, że nie możesz. Więc spierdalaj!

— Ależ sir. Nalegam.

— (Głośno) Ty! Ty! Nalegasz! Ha! Ha! Ha! Wypierdalaj!

— (Cicho) Przepraszam, sir... ale jeśli nie pozwoli mi pan złożyć dymisji, to zrobię coś, co zmusi pana do skłonienia mnie do opuszczenia szeregów gwardii!

Muszę przyznać, że była to najbardziej spektakularna i najodważniejsza rzecz, jaką zrobiłem w swoim dotychczasowym życiu. Gregor był przerażającym człowiekiem zajmującym stanowisko boga.

— (Głośniej) Zmusić mnie? Zmusić! Mann! Jeśli zrobisz coś takiego, cokolwiek, nie poproszę cię o wystąpienie z oddziału. Nałożę na ciebie ścisły areszt! A następnie oddam pod sąd! I wsadzę do więzienia wojskowego w Colchester. Rozumiesz?

— (Ciszej) Tak jest, sir.

— (Najgłośniej) A teraz wynoś się, zanim każę zamknąć cię za NIESUBORDYNACJĘ!

— (Najspokojniej) Tak jest, sir.

I wyszedłem. Słaby. Pobity.

Jeśli spojrzeć na to zdarzenie z perspektywy czasu, ten stary drań oczywiście wyświadczył mi przysługę. Zrobił to, co do niego należało. Operacja na Seszelach planowana przez Stirlinga nigdy nie została zrealizowana. W gruncie rzeczy o zamachu stanu na Seszelach mówiło się nadal jeszcze kilka lat później, kiedy pracowałem na South Audley Street.

Fiasko operacji „Rupert” nie przeszkodziło mi w zaprzyjaźnieniu się z założycielem SAS. Nawet więcej. David Stirling stał się dla mnie kimś w rodzaju pomocniczego ojca chrzestnego, sprawującego swoją funkcję dobrowolnie. Był jednym z tych ludzi, którzy pomagali mi wybrać właściwą drogę. Szukałem u niego akceptacji i aprobaty. David zawsze był człowiekiem pięknie niebezpiecznych idei.

Tymczasem w Irlandii Północnej pojawiało się coraz więcej „Kłopotów”³. Ulster odwiedzałem pięciokrotnie, udając się tam przy okazji różnych misji. Początek lat siedemdziesiątych był czasem niebezpiecznym. Każdego roku z rąk PIRA ginęło ponad stu brytyjskich żołnierzy — tyle samo co w najgorszych latach konfliktu w Iraku i Afganistanie. Mimo ponoszonych ofiar — od czasu pierwszego tournée w 1973 roku do ostatniego w 1980 roku — czuliśmy, że nie zbliżamy się do rozwiązania problemów. Gorzej. Cofaliśmy się. Nie wygrywaaliśmy tej wojny.

Nie mogę powiedzieć, że pobyt w Irlandii Północnej był przyjemny, ekscytujący lub satysfakcjonujący, nawet jeśli oznaczał szansę na aktywne spędzanie czasu. Działania w Irlandii były nudne, czasem przyprawiające o mdłości, frustrujące... za to zawsze niebezpieczne. Nawet wtedy marzyłem o tym, by uczestniczyć w prawdziwych akcjach bojowych. Chciałem iść śladami mojego brata ciotecznego, Locky’ego (obecnie sir Lachlana MacLeana, baroneta, CVO, DL) — pragnąłem dołączyć do legendarnej SAS i zyskać niemal boski status, jaki mieli żołnierze tej formacji w brytyjskiej piechocie. W tym czasie dowództwo SAS koncentrowało się na operacji „Storm”, trzymanej w sekrecie wojnie w Omanie, gdzie komunistyczni powstańcy próbowali obalić stary sułtanat, utrzymujący do tej pory przyjacielskie relacje z Anglią.

Tak więc w 1979 roku, w wieku 27 lat, udało mi się w końcu zrealizować cel, który postawiłem sobie jako nastolatek. Szczyt moich marzeń i ambicji. Po sześciu latach służby w armii brytyjskiej zostałem przyjęty do elitarnego pułku SAS: 22 Regular Special Air Service Regiment.

Siedem miesięcy później, w Belfaście, seria karabinu maszynowego zakończyła życie kapitana Richarda Westmacotta, grenadiera gwardii, mojego przyjaciela i towarzysza broni. Obaj wspinaliśmy się na tę samą górę — zapatrzeni w te same cele i z tymi samymi trawiącymi nas od środka pożarami, poświęcając się poszukiwaniom właściwej sprawy i smoków godnych zgładzenia.

Śmierć Richarda oznaczała dla mnie rozpoczęcie smutnego okresu w życiu, zjazdu po równi pochyłej. Upadku w coraz głębsze otchłanie depresji. Rezygnację z SAS, wystąpienie z armii, rzucenie pierwszej cywilnej pracy, koniec pierwszego małżeństwa, oddalenie od dzieci.

Potem nadszedł czas innych interesów, nie bardzo intratnych biznesów. Śmiałych i brawurowych, nierzadko bezmyślnych, działań, które trudno było nazwać heroicznymi. Krótkie drugie małżeństwo. Ta dziewczyna, tamta, potem znów ta pierwsza. Im niżej upadałem, tym rzadziej marzyłem o sprawie lub smokach, godnych czy niegodnych.

³ Słowo „kłopoty” ma tu dwa znaczenia. Mianem „Kłopoty” (ang. *The Troubles*, irl. *Na Trioblóidí*) określa się także konflikt polityczno-etniczny w Irlandii Północnej w latach 1960 – 1998 — *przyp. tłum.*

Upadek powstrzymała wojna, która przyniosła poprawę losów. Wojna w Zatoce z 1989 roku. Moim zbawcą okazał się pamiętający mnie z czasów służby w SAS generał Peter de la Billière. Przyjął mnie do grona swoich współpracowników w londyńskiej kwaterze w (dawnej) randze kapitana. De la Billière był wówczas dowódcą sił brytyjskich biorących udział w pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej (obecnie niekiedy żartobliwie nazywanej „wielką wojną w Zatoce”, jako że II wojna światowa wybuchła po pierwszej, nazywanej czasami „wielką”).

Generał de la Billière jest wspaniałym człowiekiem, z którym świetnie się współpracuje. Moje obowiązki — jako pokornego oficera niskiego szczebla (kapitana, SO3) — codziennie bywały różne: czasami miałem do wykonania zadania banalne i błahe, a czasem niezwykle istotne i ekscytujące.

Kiedy generał de la Billière odszedł na emeryturę, szefowie SAS zaproponowali mi inne atrakcyjne stanowisko. To było coś więcej niż praca. Dzięki nowym obowiązkom udało mi się zamknąć pewien niezbyt chlubny etap mojego życia. Wyrzucić z głowy wszystkie złe myśli, które kotłowały się w niej od czasu śmierci Richarda i rezygnacji ze służby w SAS. Dwóch żołnierzy prowadzących rozmowę kwalifikacyjną udzieliło mi swojego poparcia — to byli moi towarzysze broni z czasów służby w G Squadron.

Któregoś dnia mój najlepszy przyjaciel, a także brat i ojciec w jednym — Tony Buckingham — zabrał mnie na obiad. Okazało się, że jego projekt zakładający rozpoczęcie działań biznesowych w Angoli nareszcie miał wejść w fazę realizacji. Tony powołał do życia firmę Devon Oil and Gas (DOG) i zaproponował mi udział w nowym przedsięwzięciu. Moim zadaniem było przede wszystkim wprowadzenie Tony’ego do Angoli.

To była moja wymarzona praca oraz szansa na nowy początek w cywilnym życiu. Mogłem zamienić mundur na garnitur i spróbować zarobić jakieś prawdziwe pieniądze. Nowa oferta SAS przyniosła mi wolność. Choć Tony wychodził z siebie, żeby otrzymać tę robotę, to ja po prostu już jej nie potrzebowałem.

Tony. Niższy i nieco bardziej korpulentny niż ja. Zawsze roześmiany. Zawsze opalony. Głośny. Nieustannie szastający pieniędzmi. Właściciel całej floty samochodów. Ukrywający się za chmurami dymu cygar Cohiba. Pan Ropuch w swoim pałacu. Poznajcie J.R. Ewinga.

Tony uczynił ze mnie swojego zarządcę biura, z niewielką pensją i procentową premią od ogromnych zysków DOG. To był kwiecień 1992 roku. Właśnie wtedy zacząłem karierę biznesmena aspirującego do miana potentata naftowego. Podobało mi się to nowe wyzwanie oraz świadomość wiedzy, jaką muszę zdobyć.

Wtedy też poznałem Amandę. Zakochałem się po uszy.

Potem, w styczniu następnego roku — mniej niż rok od rozpoczęcia pracy — wszystko się zmieniło.

Wróciłem właśnie z samotnego lunchu. Wchodząc do biura Tony’ego, poczułem, że powietrze jest gęste od cygarowego dymu.

— Simon! Rebelianci uderzyli na Soyo. Zajęli port i miasto. To potwierdzone. Nie ma żadnych wątpliwości.

Tony zamilkł na chwilę, wciągając dym z cygara Cohiba Esplendido. Następnie dorzucił:

— Projekt pod nazwą „Devon Oil and Gas” w Angoli jest zakończony. Przykro mi, Simon. Mogę zapłacić ci w tym miesiącu... i w następnym. I to tyle. Lepiej zacznij szukać nowego zajęcia.

Od kilku tygodni czułem nadciągającą burzę. Gdzieś tam daleko za horyzontem zbierały się chmury, wirując w oczekiwaniu na właściwy moment, aby spaść z impetem na wybrany skrawek morskiego wybrzeża Afryki. Na Angolę. Lunęło 16 stycznia 1993 roku. UNITA⁴ i przeciwni rządowi rebelianci postawili sobie za cel zniszczenie marzeń — nie tylko moich, ale i sam Bóg wie ilu ludzi. Ponownie wciągając Angolę w wir wojny domowej, UNITA jednym ciosem zniewoliła setki tysięcy mieszkańców kraju. Tysiące miały zginąć.

Koniec DOG oznaczał dla mnie ryzyko ponownego skoku w otchłań. Nie ma pensji. Nie ma Amandy. Byłem czterdziestolatkiem bez jakichkolwiek kwalifikacji zawodowych. Moje CV powodowało wytrzeszcz oczu ubranych w garnitury szefów i nieopanowany śmiech przedstawicieli firm ubezpieczeniowych. Mój dobytek sprowadzał się do bagażu doświadczeń... a było to jeszcze przed tym, jak na hipotece pojawił się ujemny kapitał własny. Miałem żyć z pensji pracownika kolejowego, dzieląc z kimś niedrogie mieszkanie gdzieś w Harlesden? Ten Mann mógł zapomnieć o perspektywie starannego budowania dynastycznej fortuny.

Poczułem w sobie żar wściekłego ognia. Padła pierwsza iskra...

— Jeśli UNITA zajęła Soyo, dlaczego nie mielibyśmy odbić miasta? — Nie próbowałem gasić pożaru...

Siedzący po drugiej stronie biurka Tony’ego Stavros wybuchnął śmiechem. Wyjął z ust swoje cygaro:

— Jesteś cholernym wariatem!

Zignorowałem Stavrosa, bo wiedziałem, że właśnie tak postąpiłby Tony. A Tony tymczasem zaciągał się cygarem w zamyśleniu, po czym rzucił krótkie:

— Jak?

— Zbierzemy oddział uderzeniowy. Zaatakujemy.

— Simon, moje „jak” to pierwsza część pytania: „Jak za to zapłacimy?”.

— To ty jesteś Kapitan Bankomat.

⁴ UNITA (port. *Uniao Nacional para a Independencia Total de Angola*) — Narodowy Związek na rzecz Pełnej Niepodległości Angoli — *przyp. tłum.*

Śmiech Stavrosa zmienił się w pełen niepokoję i dezaprobatę grymas:

— Kurwa, jesteś szalony — stwierdził.

— Zamknij się, Stav.

— Tony, zastanów się. Soyo w rękach UNITA oznacza dla rządu Angoli strategię pięciu milionów amerykańskich dolarów tygodniowo, bo tyle warte jest wydobyć. Te platformy Agipa na łądzie — te w Soyo — pompują co najmniej tyle ropy. Możemy uderzyć na Soyo, a rząd Angoli będzie to kosztowało tyle co jednodniowe dochody.

Wdech. Wydech. I kłęb dymu.

— Dwa tygodnie. Dziesięć milionów. — Kapitan Bankomat ma rację. Cygara Cohiba kosztują fortunę.

— Dobrze, dwa tygodnie. Ale... dlaczego by nie? Dlaczego te dranie z UNITA nie miałyby nam za to zapłacić?

Zaciągnięcie. Wydmuch.

— Czy jesteś do tego przekonany, Simon?

— Jeśli będziemy mieli wystarczające fundusze? Przy odpowiednim wsparciu ze strony samych Angolczyków? Pewnie, że jestem przekonany.

— A ten oddział uderzeniowy? Kim mieliby być ci ludzie? Hereford?⁵ — zapytał Tony.

— Nie Hereford. Oni są kosztowni. Nie znają Angoli. Nie. Południowoafrykańczycy. Przywykli do klimatu i do ludzi... i wiem, że są dostępni. Wielu z nich.

— Jak ich znajdziesz?

— Tu i tam... Wiem, gdzie ich szukać. Jeśli będziemy mieć zielone światło z Angoli...

— Raczej: gdy dostaniemy pieniądze z Angoli. Jakie byłyby nasze koszty?

— Nie więcej niż dwa tysiące dolarów miesięcznie na głowę. Stu ludzi. I jakaś premia za końcowy sukces. Dwa lub trzy miesiące, a potem jeszcze po dwa tysiące jako bonus. Tak mniej więcej...

— Jak mielibyśmy dotrzeć na miejsce?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że pomogą nam w tym siły rządowe. Przeszły nas pod Soyo i będą tam z nami. Może morzem? Albo na pokładach śmigłowców.

Stavros zaczął donośnie siorbać, a potem znów zaciągnął się cygarem.

— Żartujecie sobie, prawda? Coś się popieprzyło w tych waszych głowach. Do kurwy nędzy, UNITA to prawdziwa partyzancka armia!

Zwróciłem się do niego:

— Posłuchaj, Stavros. UNITA to tylko zbieranina oprychów. Kimkolwiek byli wcześniej, teraz są po prostu bandytami. UNITA złożyła swój podpis pod dokumentem ONZ, znanym jako *Bicesse Accords*... Chodzi o plan

⁵ W Hereford swoje kwatery główne mają elitarna brytyjska jednostka Special Air Service, a także międzynarodowa jednostka antyterrorystyczna Rainbow — *przyp. tłum.*

Crockera przygotowany przez administrację Ronalda Reagana. Podpisali porozumienie. Obiecali rozbrojenie, demobilizację i udzielenie zgody na wolne wybory, które mogli wygrać lub przegrać. Obiecali. Wszystkim. Sam Savimbi — przywódca UNITA — obiecywał to Davidowi Steelowi i mnie — byliśmy wtedy tylko we trzech. Towarzysz generał dr Jonas Savimbi dał swoje słowo! We wrześniu ubiegłego roku UNITA przegrała wybory. Wybory, które ONZ, USA, Unia Europejska i wszyscy inni uznali za „wolne i sprawiedliwe”.

Kontynuowałem moją tyradę z coraz większą zapalczywością:

— Bóg widzi i wie! Wszyscy mogliśmy się przekonać, ile wysiłku kosztowały te wybory. Czym UNITA usprawiedliwia ponowne wysłanie całej Angoli do tego pieprzonego piekła? Czym uzasadnia powrót do krwawej wojny domowej?

Zakończyłem krótką uwagę, która ubodła Stavrosa. Przecież chodzi o nas!

— Zważ sobie jeszcze coś, Stavros. Ci bandyci, ci przestępcy... Oni w tej chwili atakują ciebie! Nas. Chcą naszego majątku, naszych zasobów, naszych ludzi. Mojej pieprzonej pracy. Ile tysięcy innych ludzi dotyka teraz ich działanie? To podżegacze wojenni. Zatem niech mają swoją wojnę! Jak to leciało w *Juliuszu Cezarze*? Czeka ich: „Wojna bez końca i bez miłosierdzia!”⁶.

— Ale to ty jesteś podżegaczem wojennym, Simon! — Stavros siorbnął, a potem znów się zaciągnął.

— Nie. Do cholery! Nie jestem! Dla prostego człowieka z Angoli nie ma nic gorszego niż wojna domowa. Nic. Byłem zbyt blisko horrorów wojny domowej w Afryce, w Liberii... W 1989 roku. Widziałem to na własne oczy. Nie ma nic gorszego. Przysięgam: wszystko, co przyspiesza zwycięstwo sił rządowych, jest dobre. Jeśli wejdziemy tam i będziemy walczyć o zachowanie władzy rządu, to będziemy walczyć o pokój. Nasze zwycięstwo będzie oznaczać pokój, ale też i korzyści dla nas samych.

— Co powiesz, Tony? — wycedził lakonicznie Stavros.

— On ma rację. Zgadza się z nim w stu procentach.

— Obaj możecie zginąć — warknął sfrustrowany Stavros.

Tony pochylił się nad biurkiem, wcisnął przycisk interkomu i zawołał:

— Katya, postaraj się znaleźć Joaquina Davida, dobrze? Jest w Angoli. Najpierw sprawdź linię bezpośrednią w Sonangol, a potem próbuj złapać go pod zewnętrznymi numerami.

⁶ Cytat pochodzi ze sztuki W. Szekspira pt. *Juliusz Cezar* w przekładzie Leona Ulricha. W całości fragment brzmi następująco: „Wśród krwawych czynów wszelka skona litość; / I duch Cezara, na zemstę łakomy, / Wróci gorący z samego dna piekła, / Monarszym głosem zagrzmi po tej ziemi, / Wszystkie psy wojny puszczażąc ze smyczy: / »Wojna bez końca i bez miłosierdzia!«; / Aż zapach śmierci ogarnie powietrze, / Z trupów, o pogrzeb daremno żebrzących” — *przyp. tłum.*

Joaquim David — dyrektor naczelny Sonangol, państwowej spółki wydobywającej ropę w Angoli — był jednym z połowy tuzina najbardziej wpływowych postaci w Luandzie, stolicy Angoli.

— Proszę cię, Tony! — krzyknął Stavros. — Nie jesteś chyba aż tak szalony, aby pójść z tym do niego, prawda? Pomyśli, że zwariowaliśmy. Jezus! Wy dwaj jesteście szaleni.

Czekaliśmy, aż Katya zlokalizuje Joaquina Davida, znanego w Luandzie jako JD. Bywało, że trwało to kilka dni.

Stavros bawił się pudełkiem zapalek, podpalając wilgotny koniec swojego cygara marki Cohiba jedną zapalką po to, żeby zaraz odpalić od niej kolejną. Gdy cygaro dymiło już dokładnie tak, jak chciał, zwrócił się do Tony'ego:

— A ta UNITA... Kto za nimi stoi? Chodzi mi o to, kto wspiera partyzantów podczas tej wojny rozpalonej na nowo? Może powinniśmy się zastanowić, czy jest w tym coś, co kryje się między wierszami?

— Pozwól, że Simon i ja sami zajmiemy się UNITA. Dlaczego ktokolwiek miałby ich wspierać? Złamali postanowienia traktatu pokojowego podpisanego przez przedstawicieli wielu państw. Cholera! *Bicesse Accords*, który uzyskał akceptację UNITA, podpisali także ludzie z MPLA, ludzie z rządu, a także Portugalia, Kuba, USA, Związek Radziecki... i wszyscy znajomi królika!

Stavros siorbnął raz jeszcze, potem znów zaciągnął się cygarem. Wypuścił kłęby dymu, przymykając oczy i zamyślając się.

Ja w tym czasie zwróciłem się do Tony'ego.

— Jak oceniasz szanse? To znaczy w kwestii sprzedania tego pomysłu w Luandzie.

— Bóg jeden wie. Sam masz świadomość, jak dziwni potrafią być ci ludzie. Mnie ten pomysł się podoba. Nie martw się. Postaram się być maksymalnie przekonujący, obiecuję.

Wstałem i okrążyłem wielkie biurko, kierując się w stronę okna. Spojrzałem przez szybę na panoramę Londynu. Widok jak z obrazka. Najlepsza panorama miasta rozciągała się z miejsca zza fotela Tony'ego. Biurowiec wznosił się na południowo-zachodnim narożniku Ebury Street i Lower Belgrave Street. Okna wychodziły na północ, na Belgravię, w kierunku Hyde Park Hilton. Jeśli przesunąć wzrok w prawo od hotelu Hilton, a potem na wschód, można było dostrzec Post Office Tower, potem katedrę św. Pawła, a następnie dziwne, nowoczesne kształty budynków City.

Na ulice opadła styczniowa mgła. Pomimo wczesnego popołudnia niebo powoli ciemniało już i szarzało. Na wschodzie, nad City i dalej, wisiała kurtyna ciemnoszarych, prawie czarnych chmur. Deszczowy szkwał smagał Docklands, utrzymując się nad rzeką. Mokrymi od deszczu ulicami powoli przetaczały się samochody z zapalonymi już światłami. Żółte snopy reflektorów odbijały się od lśniącego, jakby tłustego asfaltu.

Jest ślisko — ostrzegłem sam siebie.

Przez ciężką chmurę przebił się wielki odrzutowiec, Boeing 747-400 British Airways. Najpierw dostrzegłem tylko zapalone światła lądowania, a potem z chmur wychynęła cała sylwetka, podkreślona przez czerwone światło nawigacyjne — jasny punkt na krawędzi lewego skrzydła. Jakaś część mnie (byłem aktywnym zawodowo pilotem) obserwowała z zainteresowaniem, jak maszyna — i tak znajdująca się bardzo nisko nad ziemią — zmieniała pozycję, zgodnie z danymi przechwyconej wiązki ILS radiowego nadajnika. Podejście precyzyjne według wskazań przyrządów na lotnisko Heathrow, najbardziej ruchliwy port lotniczy na świecie.

W tym samym momencie setki samolotów stosowały się do poleceń tego rodzaju automatycznych systemów — w Londynie i w innych częściach świata. Jak zawsze, poddałem się rytmowi bijącej z tego miasta energii: potężnemu mechanizmowi wymiany dóbr — towarów dobrych i złych — pochłanianych przez Londyn oraz wysyłanych z tego miasta na cały świat.

Londyn, dawna rzymska kolonia, wiele wieków później sam stał się miastem, do którego prowadzą wszystkie drogi. Tu zawijają wszystkie okręty.

Moje myśli popłynęły do Luandy, a następnie do Soyo. Do Angolczyków. Byłem tam dwa razy i zapamiętałem Angolę bardzo pozytywnie. *Simpatico*. Bezpieczeństwo i przyjazne nastawienie ludzi. Teraz Soyo zostało opanowane przez obce siły. Mieszkańcy Luandy muszą cierpieć katusze, oczekując uderzenia rebeliantów.

Jonas Savimbi nie krył, czego mogą oczekiwać z jego strony obywatele stolicy. W ogłoszonym przez niego manifeście można było wyczytać, że każdego, kto nie zna ojczystego afrykańskiego języka, potraktuje tak, jakby był białym. I nie mówił tu o języku portugalskim.

Myślałem o podróży do Soyo, jaką odbyliśmy z Tonym zaledwie dwa miesiące temu, kiedy wszystko szło jeszcze tak dobrze. Zabrałem wtedy ze sobą *Jądro ciemności* w wydaniu Penguina.

Spoglądałem na rzekę Kongo na drogowej mapie Michelina w skali 1:500 000 i nie mogłem się oprzeć myśli o tym, jak trafne były słowa Conrada/Marlowa: „(...) wielka, potężna rzeka, którą się oglądało na mapie, podobną do olbrzymiego, wyciągniętego węża, ze łbem w morzu, z tułowiem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem zagubionym w głębi lądu”⁷.

Gdy przybyliśmy do Soyo, ujście rzeki Kongo naprawdę wyglądało tak, jakby było głową ogromnego węża lub smoka, z miastem położonym na południowej, dolnej wardze potwora. Będąc w powietrzu, mogłem sięgnąć wzrokiem na północną stronę i ujrzeć górną część głowy smoka, aż po Banana Creek. Tego dnia nad ciągnącymi się bez końca lasami na lądzie wznosiły

⁷ Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, przeł. Aniela Zagórska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1995.

się groźnie wielkie wieże cumulonimbusów: słupy smoczego dymu dosięgające 30 000 stóp lub wznoszące się jeszcze wyżej.

Myślałem o tym, co dzieje się w Angoli. Uderzenie UNITA na Soyo było atakiem na centrum wydobywania ropy naftowej. To jasne. Jak powiedział Tony, musiało to być wcześniej starannie przemyślane. Zadałem sobie jednak pytanie: „Co to właściwie znaczy?”. Wojna w Angoli trwała już przecież od tylu lat, a mimo to nigdy dotąd nie doszło do próby uniemożliwienia wydobywania ropy. Przemysł naftowy zawsze świadomie oszczędzano. To mogło oznaczać tylko jedno: UNITA planuje szybkie zwycięstwo, które ma zapewnić seria śmiertelnych ciosów. Czy to był jeden z nich?

Tylko jak w ogóle mogło do tego dojść, jeśli UNITA miała być rozbrojona i zdemobilizowana? Przecież takie były ustalenia porozumienia. Przypomniałem sobie spotkanie Savimbi z sir Davidem Steelem. Uczestniczyłem w nim niby przypadkiem, nosząc bagaże Davida, choć w rzeczywistości wcieliłem się w rolę tajnego agenta Tony’ego. Savimbi był przysadzistym, brzydkim, bardzo czarnym człowiekiem. Biła od niego magnetyczna aura. Enigmatyczność. Władczość. Oto człowiek sprawujący władzę.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Tony dźgnął przycisk interkomu. Katya jednym tchem doniosła o zakończeniu swoich wysiłków sukcesem: Joaquim David na linii. Podczas konwersacji tego rodzaju Tony wykorzystywał swój donośny głos, a rozmowę okraszał archaicznymi okrzykami. Przywitał JD pełnym energii:

— Halo, Joaquim? Jak się miewasz?

Inżynier towarzysz Joaquim David, zawsze spokojny i uprzejmy, wypytał o zdrowie wspólnych znajomych. Potem Tony przeszedł do najnowszych wiadomości z Soyo. I po chwili przedstawił JD naszą propozycję. Patrzyłem przez okno, modląc się w duchu do moich pogańskich bogów.

Proszę, Aresie. Proszę, Ateno. Myśl o tym, jak wiele ryzykujemy, była wręcz bolesna. Dziś mogę stracić pracę. Potem straty będą jeszcze większe.

Poznawszy wszystkie szczegóły naszej oferty, JD zamilkł. Cisza zdawała się trwać wieczność. To było do niego podobne. I wtedy moje serce zamarło... Usłyszałem, że jego zdaniem nasz pomysł jest bardzo zły. Bardzo niebezpieczny. JD chciał się upewnić, czy mówimy poważnie. Czy to nie jest aby jakaś przypadkowa idea, która zrodziła się przed obiadem?

Tony zapewnił go, że jesteśmy śmiertelnie poważni.

JD obiecał, że prezydent i jego szef sztabu, generał João de Matos, zostaną zapoznani z naszą propozycją. Stwierdził, że przekazanie im szczegółów jest jego obowiązkiem, niezależnie od tego, czy nasz pomysł mu się podoba, czy nie. Zakończył rozmowę, obiecując szybką odpowiedź.

Usłyszeliśmy ją zaledwie pół godziny później. Mimo uprzejmego tonu JD w jego głosie wypełniającym powietrze w pokoju Tony’ego dzięki głośnikom telefonu wyraźnie dało się wyczuć zaniepokojenie lub lekką konsternację.

Prezydent wysłał natychmiast do Lizbony odrzutowego gulfstreama. *El Presidente* pragnie spotkać się z nami trzema w Luandzie. Joaquim David — posłaniec — obawiał się, że plan uderzenia na Soyo naprawdę może zostać zrealizowany.

Czterdzieści minut później wyszedłem z budynku biurowca, zmierzając w stronę motocykla zaparkowanego na Eaton Square. Deszcz prawie przestał padać, ale drogi wciąż wyglądały na śliskie. Moje myśli rozbiegły się w zbyt wielu kierunkach.

Najpierw zostałem zwolniony. To był koniec. A teraz okazuje się, że wszystko może jeszcze dać się uratować. Czy UNITA i Soyo... Czy to naprawdę ma być mój smok? Sprawa, za którą warto oddać życie?

Aby ochronić się przed wilgocią, podciągnąłem zamek kurtki tak wysoko, jak tylko się dało. BMW K1000 RS stał na głównym stanowisku. Nacisnąłem przycisk startu, a elektronika uruchomiła silnik. Plusem bycia młodym potentatem naftowym jest posiadanie wypasionego motocykla.

Nałożyłem kask zakrywający całą głowę. Zaciśnąłem pasek pod brodą, potem założyłem rękawice, zaciśnąwszy mocno mocowania na rzepy. Silnik rozgrzewał się na biegu jałowym. Zgarnąłem uzbrojoną w rękawicę dłońią większą część kropel deszczu, jakie osadziły się na siedzeniu.

Motocykl wciąż jeszcze stał na nóżkach. Uniosłem prawą nogę. Usadowiłem się wygodnie na siedzeniu, a potem pchnąłem maszynę do przodu. Ruszyłem. Próbowałem się skupić na prowadzeniu i bezpieczeństwie szybkiej jazdy po śliskich ulicach, przebijając się przez londyński zmierzch i korki godzin szczytu.

Spieszyłem się do Amandy. Jakże mocno ją kochałem. Radość przebywania z nią. Jej śmiech. Dowcipy. Piękno. Siłę. Jej zmysłowe kształty. Burzę włosów.

Gdy wreszcie wyrwałem się mackom ulicznych korków i mogłem rozwinąć większą prędkość, uśmiechnąłem się do swoich myśli. Wystarczy, że zabiję jednego smoka. Zwą go UNITA. Zgarnę złoto, a następnie oczaruję piękną damę. Kaszka z mleczkiem.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

Gdy mały człowiek znajdzie się w centrum wielkich interesów...

Był 7 marca 2004 roku. Simon Mann, były oficer brytyjskiego SAS, przygotowywał się do opuszczenia lotniska w stolicy Zimbabwe — Harare. Luki bagażowe samolotu wypełniały broń i amunicja dla grupy najemników. Portem docelowym lotu była Gwinea Równikowa. Cel misji był jasny: zgładzić jednego z najbardziej brutalnych afrykańskich dyktatorów w historii. Przygotowania do operacji były związane na ostatni guzik, a kierował nią nie byle kto. Mann, prawdziwy profesjonalista brał udział w podobnych akcjach w takich ogarniętych wojną krajach, jak Angola i Sierra Leone. A jednak tym razem się nie udało. Simon Mann został aresztowany i pięć długich lat spędził w ciężkich afrykańskich więzieniach.

Simon Mann padł ofiarą rozgrywek CIA i stał się pionkiem w wojnie o ropę. Jak było naprawdę?

Ta książka jest niezwykłym świadectwem: historią życia prawdziwie walecznego człowieka, opowiedzianą przez niego samego — psa wojny. Jego opowieść zabiera Czytelnika w świat najemników i szpiegów, mętnej polityki międzynarodowej, ropy i dużych pieniędzy, należący do tych, którzy biorą swój los we własne ręce i działają; świat pełen niebezpieczeństw, miłości, rozpacz i zdrać.

Nr katalogowy: 15029



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900



Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
● <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
● <http://editio.pl/nowosci>

Hellion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-246-5545-8



9 788324 655458